NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 180.000·— Mk z przes. 185.000·— Mk. Półrocznie 370.000·— Mk. Rocznie 740.000· — Ameryka: 12 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 23 centimów

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie Redakcja otwarta dla stron od 10 — 12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 15000 Marek

Rok XX. Kraków, 22 września 1923. Nr. 38.

Mord na polach mogilskich



Strażak Kołodziejczyk morduje wystrzałem z rewolweru Leontynę Rattnerową. (Objaśnienie na str. 10).





Kanclerz Austryi w Polsce:
Powitanie kanclerza Seipla na dworcu głównym w Warszawie. Kanclerz opuszcza w otoczeniu świty salon przyjęć dworca warszawskiego.

Prałat Seipel w Warszawie.

Kiedy korona austryacka spadała do równowartościowej rublom bolszewickim, a biedna Austrya stanęła nad przepaścią, wówczas pojawił się na widowni politycznej profesor Uniwersytetu wiedeńskiego i wódz stronnictwa chrześcijańsko-demokratycznego, prałat Seipel. Austrya, jako kraj uprzemysłowiony, a słabo rozwinięty agrarnie, nie mógł sam wyżywić się, ani spłacić tych ciężarów wojennych, jakie traktat w St. Germain na nią nałożył. Stąd coraz silniej uwypuklała się dążność u wszystkich partyj połączenia z Rzeszą Niemiecką. Tej agitacyi „wielkoniemieckiej“ starała się przeszkodzić za wszelką cenę Francya, albowiem pragnęła uczynić z Niemiec kopciuszka, niezdolnego do większego wysiłku, a jakiegokolwiek rewanżu. Ta polityka francuska odniosła istotnie tryumf.

Aby niedopuścić do chaosu w Austryi, postanowiła, inspirowana uprzednio przez wielkie mocarstwo Liga Narodów użyczyć swej pomocyi w tym celu, wzamian za uporządkowanie finansów austryackich, miał parlament zgodzić się na dyktatora finansowego. Pierwszym krokiem do równowagi finansowej była sanacya budżetu. Rozpoczęto od masowych wydalań urzędników, od oszczędności i zaprzestania wszelkich inwestycyi, a nawet udzielania pomocy dla celów naukowych. Skarbem kierowała nie Austrya, lecz zarządca finansów z ramienia Ligi Narodów, burmistrz Rotterdamu, p. Zimmerman, a dawniejsza potężna monarchia rakuska spadła do roli kolonii, gdyż na każde przedsięwzięcie musiano uzyskać zgodę dyktatora.



Konflikt grecko-włoski: Miasto Janina, gdzie obecnie prowadzone jest śledztwo w sprawie wymordowania komisyi delimitacyjnej.







Konflikt grecko-włoski: 1) Oficerowie włoscy po wylądowaniu na zajętej przez Włochów wyspie Korfu. 2) Grupa oficerów włoskich przed „Achillejonem“ (dawny pałac cesarza Wilhelma na Korfu). 3) Oddział faszystów w oryginalnych czarnych koszulach, zwraca uwagę ludności greckiej, barwnością swoich kostyumów.



Konflikt grecko-włoski: Miejsce na którem została wymordowana włoska komisya delimitacyjna.

Ale poza stroną finansową miała Austrya wiele trudności do przezwyciężenia, gdyż okolona zwycięzcami, musiała szukać drogi porozumienia. Na tem polu wiele zdziałał prałat Seipel jako zrównoważony, a chytry dyplomata, wszedł bowiem w bliższe stosunki z Włochami, Rumunami, a nawet swoją oględnością przybliżył porozumienie z Czechami i Jugosławią.

Obecnie przyjechał kanclerz Seipel do Warszawy, aby nawiązać nić stosunków gospodarczych z Polską, chociaż niewątpliwie wejdzie także w rachubę kwestya współdziałania politycznego na terenie polityki międzynarodowej, a w szczególności środkowo-europejskiej. Między republikańską Austryą, a Rzeczpospolitą demokratyczną polską, niema różnic zasadniczych, a istnieje szereg ważnych czynników, nas łączących, stąd szczere zbliżenie obu krajów mogłoby nam przynieść wiele korzyści.

aez



Konflikt grecko-włoski: † Gen. Enrigo Tellini szef misyi delimitacyjnej.

Spór grecko-włoski

Konflikt między Włochami a Grecyą, który w ostatnich tygodniach zasnuł ciężkiemi gradowemi chmurami pogodne niebo Hellady i Romy, zdaje się dobiegać do końca.



Konflikt grecko-włoski: Dyliżans grecki na drodze między Janiną a Leshiwikiem o parę kilometrów od miejsca zbrodni.

Nadpotrzebę, nadmiernie wygórowane żądania Włoch prawie w zupełności zostały przez Grecyę spełnione. Mimo, iż spór ten na południu Europy, spór — który mógł się zakończyć orężnem starciem, nie wchodził w sferę naszych bezpośrednich interesów, z radością w każdym razie powinniśmy powitać wiadomości o uspokojeniu tam na południu — bo nowe jakieś nieporozumienia, czy zamieszki, mogłyby się stać powodem poważnych wstrząśnień w całej Europie — z tak niesłychanym trudem zwolna leczącej się z niedawnych ran światowej wojny.

x



Wspomnienie tych czasów, które już do nas nie powrócą- Drzewo otoczone drutem kolczastym przy którym tracono powstańców.



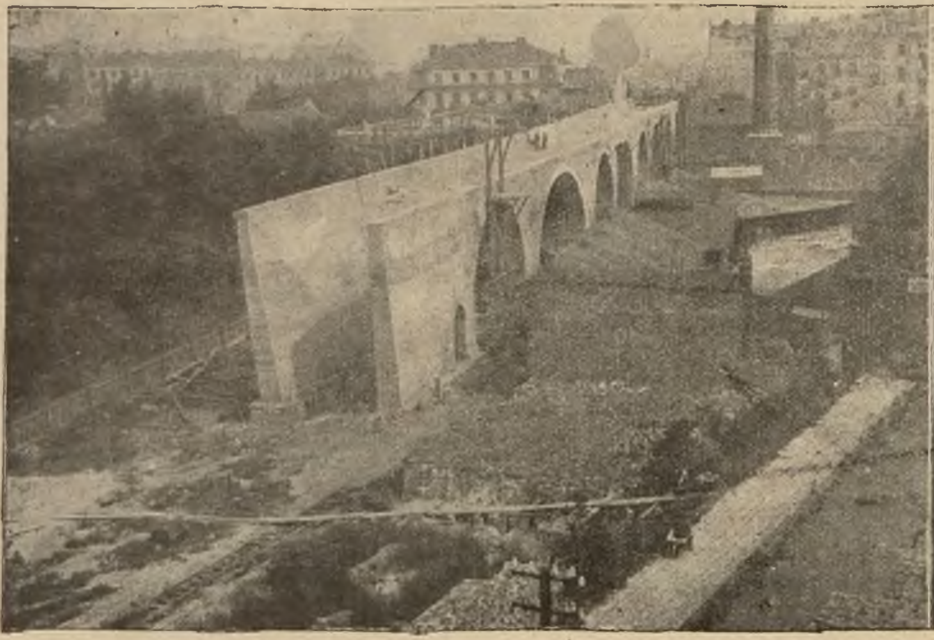
Konflikt grecko-włoski: Admirał włoski Solari dowódca floty włoskiej okupującej Korfu.



Wspomnienie tych czasów, które już do nas nie powrócą: Brama prowadząca na miejsce stracenia.

Wspomnienie tych czasów, które już do nas nie powrócą

Nadesłano nam dwa zdjęcia niepokaźne, owe dwie maleńkie fotografie, przedstawiające widok najzupełniej, najcodzienniej powszedni i zwykły ot — kawałek muru, drut kolczasty opodal i drzewo! Nic więcej! Taki sobie prosty — zwykły zwyczajny mur i drzewo. Ale bodaj że ze wszystkich zdjęć, zamieszczonych w niniejszym numerze są, one dwie, te niepokaźne fotografie najciekawsze i najszanowniejsze. Są to zdjęcia z tego świętego





Budowa czwartego mostu na Wiśle i tunelu w Warszawie;

Budujący się wiadukt kolejowy w Al. 3-go Maja obok mostu Poniatowskiego. Roboty około nasypu pod tor kolejowy mający połączyć wiadukt z tunelem.




Armia Sowietów:

Przegląd parku lotniczego pod Moskwą. Ćwiczenia bojowe oddziału piechoty.



Armia Sowietów: Ćwiczenia moskiewskiego pułku gwardyi. Bieg sztafety.

męczeńskiego miejsca warszawskiej cytadeli, gdzie w długie nieskończenie ; nieskończenie smutne lata niewoli odgrywał się nieledwie co dzień ponury akt zemsty, akt bezlitosnego bezprawia w prawniczą ubranego formę: odbywała się egzekucya więźniów politycznych. Ten mur i to stare pokrwawione drzewo to wspaniała, bohaterska polska Golgota — ten mur i to drzewo oto wspaniałe polskie pobojowisko, na którym w latach niewoli oddawali życie za wolność najlepsi z nas i najgorętsi. Zdjęcie otrzymaliśmy dzięki uprzejmości krakowskiej *Komendy Obozu Warownego*, która wielokrotnie już okazała nam dowody swojej uczynności. *x*



Armia Sowietów: Na placu ćwiczeń lotniczych pod Moskwą tłumy widzów śledzą przebieg konkursu.



Walki byków w Bayonnie: Krytyczny moment walki. Torreador błyskawicznym uskokiem uchodzi śmierci.



Walki byków w Bayonnie: Picador drażni tępą lancą zwierzę, przy czem zależy na jego zręczności by byk nie wziął konia na rogi.



Walki byków w Bayonnie: Rekord odwagi i zręczności. Matador wiszący na rogach wściekłego zwierzęcia, wbija mu w ostatniej chwili szpadę w kark, zadając mu śmiertelny cios.




Walki byków w Bayonnie:

Torreador zarzuca błyskawicznym ruchem „czerwony zwój" na głowę rozjuszonego byka. Moment krytyczny, w którym picador zwalony z konia znajduje się o krok od śmierci!!

GUY DE TÈRAMOND.

KLEJNOTY RADŻY

— Dobrze, na pierwszem piętrze są osobne gabinety, których okna wychodzą na ulicę. Kiedy będziecie zajadali kolacyę, stara kwiaciarka przyjdzie przed restauracyę, wołając, aby kupowano kwiaty. Tak urządzisz, żeby zeszedł i kupił ci bukiet.

— Jestem pewną, że nie odmówi mi tego.

— W czasie jego nieobecności wlejesz do jego szklanki zawartość małego flakonu, który ci dam.

— Ale, gdy się spostrzeże...

— Nie zauważy nic. Ten płyn nie ma ani smaku, ani zapachu, ani barwy, ale jest to straszna trucizna, którą przywiozłem z Indyi. Nie działa natychmiast, dopiero po upływie dwóch godzin po spożyciu, pada się, jakby rażonym od pioruna i nikt nigdy nie dowie się, dlaczego. Dla bezpieczeństwa, zaraz po obiedzie wyjdziesz.

— Łatwo to zrobię. W każdym razie urządzę tak, że zdejmie te wstrętne okulary, które nosi zapewne dlatego, że ma krótki wzrok i nawet, gdyby nie zeszedł kupić kwiatów, mogę działać, bez zwrócenia jego uwagi.

Hindus spojrzał w oczy młodej dziewczyny:

— Czy ręka ci nie zadrży?

— Nie! przecież nie trudno jest zrobić cośkolwiek dla mężczyzny, którego się kocha.

— Zresztą, zarządzę wszelką ostrożność. Automobil będzie czekał niedaleko, wrazie niebezpieczeństwa, będziesz mogła zaraz wskoczyć do niego.

— Ale gdzie znajdziesz starą kwiaciarkę — pytała Julietta.

Nam wzruszył ramionami.

— Najlepiej służyć sobie samemu, ja nią będę.

— Ach! — wykrzyknęła, śmiejąc się — będę bardzo ciekawą zobaczyć cię w tem przebraniu.

— Łatwo mi się to uda — odparł Nam.

— Bądź spokojną, umiem grać moją rolę... Dziś mamy poniedziałek... Do końca tygodnia musi być wszystko skończone. Kiedy go masz zobaczyć?

— W środę.

— Możesz zatem kolacyę urządzić na sobotę.

— Niech będzie sobota... Ale czy sobota wypadnie 14-go — zapytała.

Hrabia wyciągnął kalendarzyk z kieszeni.

— Tak, istotnie 14 go.

— Zwykły termin wypłat... zatem naturalnie mój ojciec zostanie zatrzymany w banku, a ja będę wolną.

— Julietto, robisz postępy, umiesz zastosować drobnostki do wielkich interesów — poświadczył hrabia.

W czasie, gdy się w ten sposób rozstrzygał los młodego człowieka, ten powoli wracał do hotelu „Nowe Hebrydy“

— Jest moją! — wykrzyknął do siebie, oszalały z radości.

Słowa niewymowne!... słowa boskie... słowa, które przejmowały całą jego osobę!... Wszystko zdawało się pięknem w koło niego... Radość przepełniała mu serce.

Tysiące projektów tworzył w głowie... Widział już Małgorzatę w białej sukni, opartą na jego ramieniu, wychodzącą z kościoła... Będzie do niego należała... Mały domek w En zniknie pod kwiatami... Wprowadzi ją do niego tak piękną, różową, świeżą.

Jutro napisze do matki prawdziwy powód swego pobytu w Paryżu.

Biedna kobieta, która wyobrażała sobie jeszcze, że poddaje się skomplikowanemu leczeniu. Ale czy nie najzdrowszem lekarstwem jest miłość?... Później uda się do chirurga, ażeby przez operacyę, wyleczyć się z tej dziwnej zmory, która go już kilka miesięcy męczy... ale obecnie chciał poświęcić się swej narzeczonej... wszystko zapomnieć... żeby nic nie mąciło jego szczęścia!

Gdy wchodził do hotelu, na progu zatrzymała go zarządzająca. Była to bardzo dobra osoba, pobłażliwa i oddana swym pensyonaryuszom, z których, młodszych traktowała jak własne dzieci, a drugich, jak przyjaciół.

— Panie Delorme, nie rób pan hałasu, wychodząc — prosiła. — Ten biedny pan Boislet, jest bardzo chory.

Był to młody urzędnik państwowy, który od lat trzech zamieszkiwał pokój, naprzeciw Lucyana Delorme. Trawiony tuberkulami, kończył życie sam i opuszczony. Nie chciał, aby go przeniesiono do szpitala.

— Po co? — mówił smutnie do lekarza, który go codziennie odwiedzał. — Wiem dobrze, że nigdy nie wstanę już... Brak mi stron rodzinnych, małego gospodarstwa moich rodziców, położonego wśród zielonej wioski.. Ach, po co przybyłem do Paryża, tego pochłaniacza ludzi i dostawcy grobów.

Słowa zarządczyni zasmuciły Lucyana Delorme.

Młody człowiek był sympatyczny. Nie jeden raz od czasu pobytu w hotelu, dotrzymywał mu towarzystwa i przynosił mu książki.

— Co mówi doktór? — zapytał.

— Że to koniec... Jest już w agonii, która potrwać może... jeden... dwa... a może i trzy dni...

— Biedny chłopiec!.. Czy pani mnie nie potrzebuje, abym z nią czuwał tej nocy?

— Nie — odrzekła — dam sobie sama radę! Nie jestem zmęczoną... a zresztą, niema nic do roboty... tylko czekać...

— W każdym razie, pani może liczyć na mnie.

— Dziękuję, wiem że pan jest bardzo dobry.

I zacna kobieta, udawszy się za swym pensyonarzem po schodach, zgasiła gaz i umieściła się koło łóżka umierającego.

ROZDZIAŁ VI.

Zamordowanie zmarłego.

Restauracya pod „Srebrnym Szczupakiem“ znajduje się na wybrzeżu Tournelles.

Nie była bardzo znaną Paryżanom, chociaż posiada dobrą kuchnię i rzecz rządką, to jest spokój.

Z pierwszego piętra jest ładny widok.

Cały zakątek starego Paryża widać: pałac Sprawiedliwości, wieże katedry Notre Dame, a poniżej płynie żółta Sekwana, ożywiona galarami.

W sobotę wieczór, na kilka minut przed siódmą, wszedł Lucyan Delorme do restauracyi.

Małgorzata zgodziła się, aby z nim zjeść wieczerzę, zgodziła się nawet, aby zajęli osobny gabinet.

Pierwszy raz mieli znaleźć się sami...

To prawda, że ostrzegła go, iż zaraz po deserze będzie musiała odejść z obawy przed ojcem...

Ale co to znaczyło... Mieli przed sobą dwie godziny, w ciągu których mogą sobie wiele powiedzieć!... Słowo stanowcze może nakoniec wyjść z jej ust i przypieczętowane pocałunkiem...

Odtąd nic nie może ich rozdzielić, należeć będą do siebie na zawsze — na tę myśl serce biło mu gwałtownie.

Niekiedy maleńki cień zasłaniał ten śliczny obraz.

Tego samego rana pensyonarz z hotelu Nowe Hebrydy wydał ostatnie tchnienie.

Ale dlaczego o tem ustawicznie myśleć teraz? Czyż w życiu radość z boleścią nie mieszają się ciągle, czyż miłość nie sąsiaduje ustawicznie ze śmiercią?

Prawo wieczne... prawo niezbadane... prawo tajemnicze na świecie.. Trzeba skłonić się przed niem, nie zgłębiając go i nie psując sobie rzadkich chwil szczęścia, tak smutnemi rozmyślaniami.

Gdy otworzył drzwi restauracyi pod „Srebrnym Szczupakiem“, zarządca zbliżył się do niego i na żądanie zaprowadził do osobnego gabinetu na pierwszem piętrze.

— Jedna pani przyjdzie tu za chwilę — powiedział Lucyan Delorme — proszę ją tu wprowadzić.

— Dobrze, panie! — odpowiedział i podał mu spis potraw.

Młody człowiek, gdy został sam, nie rzucił oczami na pozostawioną kartę.., przysunął się do okna i zaczął wyglądać, ale nie zajmowała go wspaniała panorama, roztaczająca się przed nim. We wzrastającym zmroku ukazywały się światełka w sklepach i w oknach sąsiednich domów.

— Przyjdzie! — wyszeptał, przyglądając się ze wzruszeniem fotografii Małgorzaty, która pewnego razu zgodziła się, nie bez trudności, aby ją zrobił jeden z ulicznych fotografów na poczekaniu

Wkońcu wykrzyknął, gdyż ujrzał ją, zbliżającą się krokiem drobnym, zgrabną w swym eleganckim kostyumie, a gdy przechodziła pod lampą gazową, jej włosy blond zabłysły w nocy, jakby jarzące się złoto.

W chwilę później, dwa lekkie pukania do drzwi, zwiastowały jej przybycie. Weszła, pytając się:

— Czy nie spóźniłam się bardzo?

— Kochana! — wyszeptał — zegar miłości nie ma godzin.

Ciekawem spojrzeniem badała mały pokój o ścianach brudnych, u sufitu świeciła się lampa elektryczna z różowym abażurem.

— Pierwszy raz znajduję się w takim gabinecie. Z moim ojcem jadłam na dole... Wszystko wydaje mi się tak zabawnem, Lucyanie... Czy to ja jestem tu?... co pomyślisz sobie o mnie, że zgodziłam się na takie szalone zaproszenie?

Ale kelner ukazał się i czekał spokojnie rozkazów.

Lucyan Delorme podał menu towarzyszce, ale ta obojętnie oddała mu ją mówiąc:

— Co ty chcesz...

Szybko rozkazał przynieść to, co mu przyszło na myśl.

Obojętnem też było dla niego, był z nią i to mu wystarczało.

— Czy szampana podać? — zapytał kelner.

Młody człowiek spojrzał na Juliettę, a gdy przyzwoliła, odrzekł:

— Tak.

Gdy sami pozostali, przysunął delikatnie ku sobie młodą dziewczynę, a całując ją w czoło, powiedział:

— Co ja myślę o tej nierozwadze, o tem szaleństwie? Ależ Małgorzato, zupełnie dobrze postąpiłaś. Czyż nie jesteś mą narzeczoną?... a wkrótce nawet będziesz moją żoną. W takich warunkach nie widzę nic uchybiającego, że przyjęłaś moje zaproszenie. Ale czy mówiłaś z ojcem o naszych zamiarach?

— Tak, Lucyanie, zaczęłam go przygotowywać. Za parę dni wszystko mu wyznam i będę prosiła o pozwolenie, aby cię przedstawić. Och! — dorzuciła, uśmiechając się, kocha mię za bardzo, aby nie zezwolił na moje szczęście.

Serce młodego człowieka zadrżało z radości.

— Jakże czuję się szczęśliwym! — wykrzyknął — ja napisałem także do matki, jestem przekonany, że nie będzie opierała się naszemu małżeństwu. Małgorzato! żebyś wiedziała, jak Cię kocham.

Ja cię kocham również bardzo, ale — ciągnęła dalej, przypominając sobie, co jej Nam mówił — kochałabym cię jeszcze bardziej, gdybyś zdjął te obrzydliwe okulary, z którymi nie rozstajesz się nigdy!... Co za pomysł, nosić podobne szkła na nosie... Czy jesteś tak wielkim krótkowidzem?

— Małgorzato! nie żądaj rzeczy niemożliwej... nie mogę ci dać żadnego wyjaśnienia w tym przedmiocie... wiedz tylko, że nie mogę się rozłączyć z memi okularami... moje oczy... moje biedne oczy nie zniosą tego... byłoby to dla mnie zbyt bolesne!

— Nie rozumiem, czy to coś nadzwyczajnego, być krótkowidzem.

— Nie jestem krótkowidzem, Małgorzato, ale dziwny przypadek, dał mi nadludzką zdolność

Zatrzymał się nagle, a przesuwając ręką po czole, rzekł ze smutkiem.

— Wyjawię ci to później, opowiem ci rzeczy dziwne!

— Ach! — wykrzyknęła młoda dziewczyna, tupiąc nogą ze złości. — Zawsze te tajemnice.

Ale łagodnie przysunął ją ku sobie.

— Małgorzato — wyszeptał — dlaczego ustawicznie jesteś tak ciekawą i z jakiego powodu badasz mię ciągle?

— Bo cię kocham — odparła pieszczotliwie. Wszystko, co ciebie dotyczy, zajmuje mię bardzo, gdy zauważę co i pytam się, odpowiadasz wielkiemi słowami: tajemnica... cud... fenomen.. Czy nie jesteś takim samym człowiekiem jak drudzy, Lucyanie?

— Nie! — odparł tonem zduszonym. — Jestem istotą, jedyną w świecie.

A obawiając się, że zadużo powiedział, dorzucił zaraz.

— Jedyną... bo nikt nie może cię kochać tak, jak ja cię kocham.

Nagle w ciszy ulicznej głos zachrypnięty odezwał się:

— Kwiaty!... kupujcie moje piękne kwiaty!

— Lucyanie! — wykrzyknęła natychmiast Julietta. — Zejdź prędko i kup mi bukiet.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAI NGAN

Włóczęga bohatera Lo-Ta.

2 Powieść chińska w autoryzowanym przekładzie *S. Vera.*

Stary Kin z córką podziękowali i odeszli. Przyjaciele pili jeszcze chwilę, poczem Lo Ta przywołał kelnera i oznajmił mu, że zapłaci innym razem.

— Bardzo proszę, naczelniku — odparł ów z ukłonem. — Czem częściej mamy zaszczyt widywać cię, tem lepiej.

Skoro przyjaciele znaleźli się na ulicy, pożegnali się. Shi i Li udali się do swych gospód, a Lo Ta podążył do swej kwatery obok domu domu władcy miasta. Podobno był w okropnie złym humorze, nie chciał nic jeść, położył się tylko zaraz do łóżka i mruczał tak groźnie, że że jego służący obawiał się zbliżyć i zapytać o powód gniewu i niezadowolenia.

Tymczasem Kin Yi wrócił z piętnastoma taelami do gospody, a córka jego najęła w mieście wózek podróżny i powróciwszy do domu, spakowała swoje rzeczy. oraz zapłaciła za mieszkanie i jedzenie, tak, że wszystko było gotowem do odjazdu.

Noc przeszła spokojnie, a około piątej zmiany straży staruszek i jego córka wstali, zapalili ogień i zgotowawszy śniadanie, pokrzepili się na drogę.

Równocześnie nadszedł naczelnik i zapytał parobka.

— Gdzie mieszka tutaj ojciec Kin?

— Ojcze Kin — zawołał tenże — przyszedł szlachetny naczelnik Lo i chce widzieć się z tobą.

Gdy stary Kin usłyszał to, otworzył drzwi i rzekł uprzejmie:

— Naczelniku, bądź łaskaw wejść i wypocząć nieco.

— Pocóż rozsiadać się? Mamy iść, to chodźmy! Na co czekać?

Wówczas wziął starzec swoje tobołki i podziękowawszy mu, zwrócił się wraz z córką do odejścia. Jednakże stróż zatrzymał go:

— Dokąd idziesz, ojcze Kin?

— Czy winien wam co jeszcze? — zwrócił się do niego Lo Ta.

— Nie! — odrzekł pachołek — zwrócił nam wczoraj wszystko co do casha. Lecz dłużny jest szlachetnemu Ching wiele pieniędzy, za które jestem odpowiedzialnym.

— Ja sam zapłacę rzeźnikowi, więc możecie wypuścić tego człowieka.

Ponieważ jednak pachołek ciągle się jeszcze wzbraniał, wpadł Lo Ta w gniew, wyciągnął swą ciężką rękę z za pasa i uderzył go z taką siłą w twarz, że krew buchnęła mu z ust, poczem poprawił swoje uderzenie, przyczem pachołek, straciwszy dwa zęby, padł na ziemię. Zerwał się jednak natychmiast i uciekł do gospody, gdzie począł barykadować wszystkie drzwi. Widział całą tę scenę gospodarz, ale nie ważył się zaprotestować, obawiając się, że spotka go los podobny!

W międzyczasie starzec i jego córka wyszli z miasta, znaleźli zamówiony ubiegłego wieczora wózek i ruszyli w drogę. Lo Ta jednak, obawiając się, że gospodarz puści się za nimi w pościg, wyciągnął krzesło z gospody i, usadowiwszy się na niem, przesiedział tak kilka godzin. Kiedy zaś przypuszczał, że stary Kin zajechał już dość daleko i nie potrzebuje obawiać się pościgu, wstał, podziękował gospodarzowi za gościnę i ruszył w stronę mostu.

Rzeźnik Ching otwierał właśnie sklep i wydobywał swe bogate zapasy, kładąc je przed oczy tłumu. Poczem usiadł sam przy kasie, wpatrując się w drzwi i zerkając na dwunastu przeszło pomocników, sprzedających świńskie mięso. Nagle usłyszał wołanie:

— Hola! rzeźniku Ching!

Spojrzał w stronę drzwi. a dostrzegłszy, że owym, niezbyt uprzejmym gościem, jest naczelnik Lo, wytoczył się z za kasy i śród tysiąca grzeczności i przeprosin kazał mu podać krzesło. Lo Ta rozsiadł się na niem wygodnie i rzekł:

— Przynoszę zamówienie władcy miasta na dziesięć funtów wieprzowiny, drobno posiekanej i bez najmniejszej odrobiny tłuszczu.

Rzeźnik zawołał na swoich i kazał im wybrać dziesięć funtów najlepszego mięsa.

— Nie życzę sobie — oświadczył Lo Ta — aby mięsa dotknęli się twoi pomocnicy. Posiekaj je sam na drobne. kawałki.

— Jak rozkażesz — odrzekł rzeźnik. — Twój usłużny sługa, naczelniku, posłucha.

Mówiąc te słowa, zbliżył się do sieczkarki, wybrał dziesięć funtów chudego mięsa, pokrajał je na drobniutkie kawałeczki i wcisnął je w paczki.

Tymczasem parobek z gospody, obwiązawszy sobie głowę ogromną chustą, przybył spiesznie do rzeźnika Ching, aby go powiadomić o ucieczce starego Kin. Gdy jednak spostrzegł, że Lo Ta siedzi w sklepie, stracił odwagę i stanął w przyzwoitej odległości, ukryty za rynną.

Ching siekał mięso pełną godziną, wreszcie owinął je w liście lotosu i rzekł, zwracając się do Lo:

— Naczelniku, dam ci człowieka, który zaniesie towar, abyś nie musiał się trudzić.

— Mamy jeszcze czas — odparł Lo Ta. — Potrzebuję jeszcze dziesięć funtów drobno posiekanego tłuszczu, bez najmniejszego śladu mięsa.

Rzeźnik pozwolił sobie na małą uwagę:

— Chude mięso służy prawdopodobnie na pasztety, lecz do czego możecie potrzebować siekanego tłuszczu?

Wówczas Lo Ta rozwarł oczy, najszerzej, jak tylko mógł i wywracając białkami w stronę rzeźnika, krzyknął:

— Tak brzmi rozkaz, jaki otrzymałem od naszego młodego władcy. Czyż musisz go dopiero rozważać?!

— Masz słuszność — szepnął wylękły Ching. — Tłuszcz jest powszechnie używanym. Natychmiast posiekam go.

I wybrał znowu dziesięć funtów najczystszego tłuszczu, posiekał go na drobno, jak uprzednio mięso. W ten sposób upłynęły dwie godziny. Parobek z gospody, ciągle stał na tym samym miejscu za rynną, a kupujący zaglądali ciekawie do sklepu, nie mając odwagi wejść.

— Pozwól — zauważył znowu rzeźnik — abym dał jednemu z pomocników rozkaz zaniesienia towaru do domu.

Lecz Lo Ta odparł:

— Potrzebuję jeszcze dziesięć funtów chrząstek, bez najmniejszego śladu mięsa.

Przyszedłeś tutaj chyba, naczelniku — zauważył Ching z łagodnym uśmiechem — ażeby zabierać mi czas.

— Gdy to Lo Ta usłyszał, wrzasnął ze złością:

— Naturalnie, że po to tylko przyszedłem.

Poczem pochwycił obie paczki z posiekanem mięsem i tłuszczem i cisnął je o ziemię, tak, że cała podłoga pokryła się natychmiast drobnemi kruszynami.

Teraz i rzeźnik Ching zdenerwował się do tego stopnia, że z każdego ciała jego ciała, od od podeszwy nóg. aż do najwyższego czubka głowy, wyhynął ciemny ogień nieposkromionej wściekłości. Porwał ze stołu olbrzymią kość i ruszył ku naczelnikowi. Jednakże ten wymknął się już ze sklepu, a tłumy kupujących i sąsiadów, którzy zbyt bali się go, aby wtrącać się do sprawy, rósł z każdą chwilą, zasilany przez przechodzących, którzy, zwabieni hałasem, przystawali i przyglądali się z ciekawością całej scenie. Parobek z gospody przycupnął aż ze strachu pod rynną.

Tymczasem Ching zbliżał się coraz bardziej z kością w prawej ręce z lewą wyciągniętą przed siebie, gotową do schwytania Lo Ta. Jednakże ów pochwycił ją i wykręciwszy, obrócił rzeźnika, poczem jednem kopnięciem w plecy rzucił nim o ziemię. Następnie postąpił krok naprząd, postawił mu nogę na piersiach i uchwyciwszy obie jego ręce w jedną swoją, rzekł, patrząc mu ostro w twarz:

— Służyłem wiernie dawnemu władcy tego miasta, Yen Ngan, jako wierny żołnierz przez wiele lat i otrzymałem wzamian za to tytuł obrońcy zachodniej granicy. Jakiem jednak prawem ty, cuchnący robaku i pogromco kobiet, nosisz to samo miano? Jak mogłeś ośmielić się to to biedne dziecko Tsui Lyen tak gnębić?

Z temi słowy palnął go wolną ręką w nos z taką siłą, że wykrzywił się zupełnie, napęczniał, jak palące się opium i trysnął krwią. Ponieważ rzeźnik nie mógł podnieść się, a także kość wymknęła mu się z ręki, zawołał tylko:

— Djable wcielony, dobrze trafiłeś.

— Co, ty ścierwo — zawył Lo Ta, słysząc to — masz jeszcze humor do robienia głupich uwag.

To mówiąc, uderzył go po raz drugi, tym razem w oko. Przypatrujący się temu tłum żałował ogromnie rzeźnika, lecz zbyt obawiał się Lo Ta, aby ośmielić się stanąć mu na przeszkodzie. Ching zaś błagał płaczliwie o litość.

Lecz naczelnik przerwał mu:

— Milcz, padlino! Gdybyś był spokojny i przygotowany na ostateczność, byłbym ci przebaczył. Ponieważ jednak kwękasz i skrzeczysz, nie będę miał litości.

I uderzył go po raz trzeci — w ucho. Gdy zaś zauważył, że przeciwnik jego leży bez ruchu na ziemi, a oddech jego wychodzi wprawdzie, lecz nie wchodzi napowrót, myślał. że rzeźnik usiłuje w ten sposób uchronić się przed ciosami i wrzasnął:

— Ty szujo! Jeżeli masz zamiar twierdzić, że jesteś już trupem, palnę cię jeszcze raz, ale tak...

Ale twarz rzeźnika pozostała nieruchoma i tylko barwę poczęła szybko odmieniać.

— Hm... — pomyślał Lo Ta — Chciałem tego płaza nauczyć nieco rozumu i nie przypuszczałem nawet, abym temi trzema skromnemi uderzeniami miał zagasić światło jego życia. Pochwycą mnie teraz i pozwolą mi zgnić w więzieniu. Najlepiej zrobię, jeżeli dam prędko, jak tylko będzie można, drapaka.

Zwracając się więc do trupa, rzekł:

— Udajesz zabitego, abym zostawił cię w spokoju. Lecz nie obawiaj się, p radzę już sobie..

I mrucząc w ten sposób, oddalił się zwolna, nie zatrzymywany przez nikogo. Wydostawszy się zaś poza obręb tłumu, pobiegł szybko do wziął nieco pieniędzy, zapakował co najniezbędniejsze z ubrań, chwycił w rękę długi kij i zbiegł z miasta południową bramą, jak dym z komina.

Przyjaciele rzeźnika usiłowali tymczasem przez pół godziny pobudzić go do życia, naturalnie bezskutecznie. Biedak nie mógł już udawać trupa, był jak najsolidniej zamordowany. Pobiegli więc natychmiast do władz i donieśli im o wypadku, który miał miejsce. Zastali burmistrza w ratuszu. Wziął ich skargę, podaną mu na piśmie i przeczytawszy ją, oświadczył stanowczo, że nie może na własną odpowiedzialność wydać rozkazu pochwycenia i zamknięcia Lo Ta, ponieważ pozostaje on w służbie samego władcy. Pospieszył jednakże natychmiast i został po zwykłych formalnościach dopuszczony przed jego oblicze. Gdy władca usłyszał o wypadku, zrobił się wytwornie oburzonym i rzekł:

— Chociaż Lo Ta jest jednym z najdzielszych moich dowódców, nie mogę mimo to przeszkodzić, aby wypadek, który zdarzył się, znalazł swoje rozwiązanie. Ów Lo Ta — dodał — pozostawał jeszcze w służbie mego ojca i został mi przydzielonym do pomocy. Teraz jednak, kiedy stał się winnym morderstwa, niechaj schwytają go i postawią przed sądem, a jeżeli zostanie uniewinnionym, pozostawiam woli mojego ojca rozstrzygnięcie, co należy dalej z nim czynić.

Burmistrz obiecał solennie zastosować się do udzielonych rozkazów i powróciwszy do swego pokoju urzędowego, przedsięwziął wszelkie możliwe kroki, celem schwytania przestępcy. Jeden z szefów policji otrzymał rozkaz aresztowania i oddalił się, biorąc ze sobą dwudziestu ludzi. Neprzód szukali w kweterze, w której Lo Ta przemieszkiwał, przewracając wszystko, przeglądając wszystkie kąty i wszelkie możliwe zakamarki, jednak naprózno; nie odkryli nawet końca paznokcia zbiegłego. Przymknęli więc jego służącego i szwendali się, wąchając za zbiegłym, po całej okolicy, w promieniu conajmniej jednej mili. Nie znaleźli jednakże nic. Wrócili więc i zabrali jeszcze dwóch sąsiadaw Lo Ta, których, wraz ze służącym, przywlekli przed burmistrza. Ten kazał ich przytrzymać, a równocześnie wysłał ludzi, celem przyprowadzenia przyjaciół i sąsiadów rzeźnika Ching, oraz zwołania władz miejscowych na walną naradę.

W ten sposób zbiegł dzień — naprożno. Następnego dnia wydano i wysłano wszędzie listy gończe, w których ofiarowano tysiąc sznurów cash nagrody temu, ktoby wydał mordercę sprawiedliwości, względnie dostarczył o nim wiadomości, umożliwiających pochwycenie go i przymknięcie. Równocześnie podano opis jego wyglądu, postawy, wieku i t. d. C. d. n.

ROMAN DĄBROWSKI.

ORACZ

(Nowela)

.. Było to dziecko kompanii. Znaleziono go w jednej, zniszczonej wsi rusińskiej, na gruzach chałupy rozniesionej pociskami szrapnela. Siedział na tych gruzach apatyczny i obojętny, grzebiąc coś w stercie potrzaskanych belek i połamanych sprzętów. Na widok wkraczającej do wsi piechoty polskiej nie przeląkł się, nie uciekł, lecz coś jakby podziw, radość i lęk zarazem zamigotało w jego przygaszonych oczach. Nie ruszył się z miejsca, lesz nieruchomy patrzał, jak żołnierze rozstawiali broń w kozły, jak dookoła wsi zaciągano gęste warty, jak sztab kom panii umieszczał się w pół rozwalonej szopie. Bojąc się tylko, zdaje się, aby nie być odkrytym, schował się za zwęgloną belkę i stamtąd obserwował ruchy kompanii.

Nie długo jednak został w tem ukryciu.

Żołnierze gawędząc wesoło, rozbiegli się po całej wsi i myszkując tu i tam przeklinali barbarzyństwo bolszewików i szukali, czy czego nie znajdą wśród ruin i zgliszcz, jeszcze gdzieniegdzie dymiących. Dwu zadzierżystych Mazurów, w czasie takiej wycieczki, wpadło na ukrytego chłopaka. Zerwał się i rzucił do ucieczki, lecz już silna ręka Franka Drzazgi, zwanego w kompanii pospolicie „Kalafiorem", z powodu jego wielkiej głowy, chwyciła go za kołnierz od potarganej kurtki. Szesnastoletni wyrostek przeszedł jednak do ostrej defenzywy, szarpiąc się i wyrywając w różne strony. Zwycięstwo Franka było niepewne, bo i kołnierz drzeć się zaczął, lecz w krytycznej chwili pomógł sprawnie „Kalafiorowi" Wojtek Sroka i jeniec został ubezwładniony, właśnie, gdy w stronę walczących zbliżył się majestatycznym krokiem pan sierżant Gucwa.

— A wy smyki, kroć piorunów, co robicie?! zagrzmiał przy nich basem.

Wojtek wyprężył się służbiście:

— Melduję pokornie, panie sierżancie, co szukając względem prowiantów, wzięliśmy jeńca, huknął.

Gucwa spojrzał na Wojtka i na Franka, który się z „jeńcem" borykał i potężna fala żółci zalała mu sierżanckie serce.

— Wojtek, Franek, panie święty, puścić mi chłopca, bo zdzieję! Farmazony jakieś, będą mi cywila mordować!

Ale Franek Drzazga, jako, że to z przyrodzenia sprytny był i drugi rok w wojsku służył, nie uląkł się i nie ustąpił.

— Panie sierżancie — replikował — szpieg jest, siedział ci za tą belką i wypatrywał. Trza go do porucznika!

Sierżantowi myśl ta wydawała się wcale słuszną: nieraz i mali chłopcy ruscy byli na służbie bolszewickiej, lecz nie chciał temu zatraconemu „Kalafiorowi" przyznać odrazu słuszności, bo, jak nie bez racyi mniemał, byłoby to ze znacznym uszczerbkiem jego powagi. Nas roszył więc siwiejącego wąsa.

— Te, te, Franek — mruczał pogardliwie — ja'o mądrzejsze od kury... - tfy... do licha. No zadecydował w końcu — wzięliście jeńca, kondle jedne, to go przedstawcie porucznikowi.

Jeniec tymczasem uspokoił się trochę i jeszcze z odcieniem bojaźni, a w pół z dziecięcą ciekawością przypatrywał się mundurom żołnierzy, sumiastym wąsom sierżanta i srebrnym orzełkom na niebieskich maciejówkach. Popchnięty przez żołnierzy poszedł między nimi bez oporu.

Porucznik Listowski siedział wraz z kapitanem i podoficerami przy drzwiach stodoły, gdzie mieściła się „główna kwatera" kompanii i odczytywał nadesłane rozkazy. Żołnierze w tryumfie zawlekli przed niego swą zdobycz. Po wysłuchaniu raportu porucznik popatrzał porozumiewawczo na kapitana.

- Puścić go! — rzekł.

Żołnierze odstąpili. Listowski wpatrywał się badawczo w chłopca. Był to szczupły blondyn, o błękitnych słowiańskich oczach, odzież miał zniszczoną i podartą, twarz czarną i wychudłą.

— Puszczony stał i patrzał na zebranych tak, jak dziecko przypatruję się czemuś nieznanemu a zajmującemu, jakby dziwiąc się, iż jest przedmiotem ogólnej uwagi. Było w tem trochę obawy, lecz i jakiegoś bezwiednego zaufania.

— Skąd jesteś? — zapytał Listowski.

— Z tej wsi — odrzekł niechętnie.

— Gdzież twoi rodzice?...

— Rozstrzelani... — odparł ponuro.

Oficerowie spojrzeli bystro po sobie.

— Tyś Rusin, prawosławny? — wmieszał się kapitan.

Na te słowa postać chłopca wyprostowała się, zapadła pierś podniosła się dumnie, oczy błysnęły.

— Nie — odrzekł już pewnie i głośno — jestem katolikiem, Polakiem.

Po twarzach indagujących przeleciało coś, jakby wzruszenie. Sierżant targał wąsa, Wojtek i Franek stali zmieszani na boku, żałując, iż „wytarmosili" swojego. Oficerowie słuchali uważnie.

— Jak się nazywasz? — spytał niemniej poruszony porucznik.

— Maciej Wojnicz — odrzekł całkiem już ośmielony — myśmy byli jedni Polacy w całej wsi, dlatego rodziców rozstrzelali, mnie też chcieli, ale uciekłem. Reszta ze wsi uciekła przed wami. Ukrywałem się trzy dni... — mówił bezładnie.

Naraz Listowskiemu błysła myśl:

— Tyś pewnie głodny — rzekł.

Chłopiec w milczeniu skinął głową. Listowski zwrócił się do żołnierzy:

— Sroka Drzazga, piorunem kawy i chleba!

Rozkaz został w mig wykonany i wkrótce Maciuś Wojnicz siedząc w gronie oficerów posilał się kawą i żołnierskim chlebem.

— ooo —

Kompania stała w zniszczonej wsi przez kilka dni. Przez te dni Maciuś kręcił się między wojskiem i zyskał sympatyę żołnierzy i oficerów, a przedewszystkiem Listowskiego, który szczerze się nim zaopiekował. Młody marzyciel rozmawiał dużo z chłopcem i przekonał się, iż Maciuś jest niezwykle, jak na warunki, w których wzrastał, rozwinięty. Maciuś cieszył się wojskiem polskiem i z dumą przyznawał się, iż jest Polakiem, a wykazywał wiadomości szczególnie z historyi polskiej, które w podziw wprawiały oficerów.

— Któż to ciebie nauczył — pytał go często Listowski, a Maciuś odpowiadał z powagą: „Tatuś uczyli!" — i błękitne oczy zachodziły mu wtedy mgłą smutku za „tatusiem", którego bolszewicy rozstrzelali i do wspólnego grobu rzucili.

Wkrótce Listowski dowiedział się, iż ojciec Maciusia był człowiekiem światlejszym i wykształconym, bo leśniczym okolicznego lasu, a rozstrzelanym został, bo nie mógł ukryć swej sympatyi do Polaków i otwarcie się do swej narodowości przyznawał.

Czerezwyczajka nie oszczędziła jego ni jego żony.

I Maciuś postanowił się zemścić i myśl ta opanowała go niepodzielnie.

Po kilku dniach postoju nadszedł rozkaz: Kompania miała ruszyć naprzód. Żołnierza zwijali pospiesznie obozowiska, a Maciuś stał i patrzał na to smutnie.

— No, Maciusiu! do widzenia chłopcze — rzekł doń Listowski i wyciągnął rękę do chłopca, którego serdecznie polubił.

Maciuś spojrzał na niego i naraz powziął postanowienie.

— Panie poruczniku — rzekł — i ja pójdę z wami, może się na co przydam, a tu nie mam co robić...

I ręką wskazał na gruzy.

Porucznik zezwolił bez wahania i Wojnicz poszedł wraz z wojskiem, jako dziecię kompanii.

— ooo —

Wśród żołnierzy lubianym był bardzo i usłużny i miły pozyskał sobie serca wszystkich, nawet sierżanta Gucwy, który początkowo mruczał na „pasibrzucha" i „na piąty kół w płocie". Mimo swej szorstkości polubił Maciusia i mawiał mu często, by jak mówił, pobudzać go do wdzięczności:

— Widzisz smyku, jakby nie my, tobyś, kroćset, zginął pod płotem, panie tego. Polskie wojsko cię ocaliło, smyku, ot, co?

A Maciuś przyznawał mu słuszność, był wdzięcznym i dogadzał każdemu jak umiał.

W wyproszeniu u Listowskiego tytoniu dla sierżanta, w pośrednictwie międzу sierżantem a żołnierzem, który miał „nieczyste sumienie", był niedościgłym mistrzem.

Sam miał tylko jedną słabość, którą żołnierze poznali i podrwiwali czasem z niego.

Stary sierżant nazywał to bez osłonek „waryactwem", a Maciusia, ilekroć o tem usłyszał, obdarzał mianem fiksata". Żołnierze też naciągali go na swój sposób, lecz Maciuś, który miał wiele wrodzonej marzycielskości, nie dał się zbić z tropu.

— A „waryactwem" było to, iż chłopiec nie mógł znieść widoku niezoranych i nieobsianych pól. Sprawiało mu to ból, prawie, że fizyczny. Ziemia polska, Polska sama, był to w jego pojęciu, ogromny, bezgraniczny obszar, falujący kłossmi zbóż, pełen zieloności, a potem złota dojrzałych, ciężkim plonem kłosów.

To skojarzenie Polski z uprawną rolą, ziemią zbożodajną. było u tego chłopaka jakieś obłędne, jakieś wpół mistyczne.

Toteż ilekroć przyszli do jakiejś wsi opustoszałej, starał się namówić żołnierzy, widząc te pola niezorane i puste, by je zorali i zasiali ziarnem, często znajdywanem w pustych chałupach. Lecz spotykały go drwiny sierżanta i żołnierzy: „Maciuś, Maciuś! — wołali za nim często — chodźmy szybko, będziemy orać!"...

Lecz on nie obrażał się. „Da Bóg będziemy!" — odpowiadał, uśmiechając się dobrodusznie,

Bo i jakże — myślał sobie, w głębi swej młodzieńczej duszy — wrócą ludzie, wrócą ci, co przed grozą wojny precz uciekli — a czyż wróciwszy te, jeno, zgliszcza znaleść mają, te puste ugory, poryte granatami! Toćże w tych chałupach znajdują żołnierze częstokroć tyle zboża. — Trudno-li zaorać i obsiać te puste obszary, by widziano, iż żołnierz polski nie tylko burzyć, lecz i budować umie...

Lecz nikt nie rozumiał tej głębi myśli młodzieńczej... nikt, jeno jeden tylko porucznik Listowski.

I on był marzycielem z rzędu tych niepoprawnych, on jeden rozumiał głębie piękności tej idei, idei tak dziwnej i oryginalnej. Rozumiał on, że to, co nurtuje w tym chłopcu, to nadzwyczajne i żywiołowe ukochanie ziemi, budzenie się życia, niszczenie śmierci. I zawsze słyszący wywody Maciusia błądził wzrokiem po tych pustkowiach ziemi i zamyślał się głęboko.

. . . .

A kompania szła naprzód. Któż zliczy któż opisze trudy żołnierza polskiego, gdy w roku 1920 odbywał kampanię kijowską? Armia szła, druzgocąc siły bolszewickie, prąc zwycięsko do brzegów Dniepru, gdzie błyszczą cerkwie prastarego Kijowa. Armia polska szła, zwycięska, wielka, nadziei pełna, szła jak burza łamiąca drzew korony.

I nasza kompania szła. I przychodziło do bitew i potyczek, w których i Maciuś potrosze brał udział. Raz kompania por. Listowskiego stoczyła zaciętą walkę o wieś K. w pobliżu Biało-Cerkwi. W bitwie tej i Maciuś walczył i nie małe oddał usługi. To też kapitan Warmski pochwalił go przed frontem i uroczyście wcielił w szeregi armii polskiej. Maciuś niepościadał się z radości. Listowski gratulował mu uradowany, sierżant nie szczędził, zaś, głęboko filozoficznych uwag na temat zmienności losu, w którym przysłowie o ślepej kurze i ziarnie było wielokrotnie powtarzane. Popołudniu radość ogólna wzmogła się. Oto przyszły rozkazy, iż kompania ma zostać we wsi, przez kilka dni, dla odpoczynku. Wieś była w połowie opustoszała i częściowo przez utarczkę zniszczona i ciągnęła się po jednej stronie drogi, za wsią był pas pól, ograniczony gęstym wieńcem lasu.

Wieczorem, tegoż dnia, do idącego przez wieś porucznika, zbliżył się nieśmiało Maciuś.

— Panie poruczniku — zagadnął — czy zasłużyłem na nagrodę?

— Alez owszem, chłopcze! czegóż chcesz? odrzekł Listowski. który domyślał się prośby Wojnicza.

- Bo ja, panie porucyniku — młody żołnierz zająknął się i poczerwieniał — chciałem prosić o pozwolenie zorania i obsiania tego pola, tam, pod lasem.

Oficer uśmiechnął się dobrotliwie.

— Owszem! Ale skądże weźmiesz zboża?

— Znalazłem tam — w tej chałupie — wskazał palcem — pług mam też, tylko naprawić, a konie poproszę te od kuchni albo od trenów.

— Ha, dobrze powiem sierżantowi, by ci nie czynił trudności lecz pomógł... tylko — narazisz się na śmiech kolegów.

— Co mi tam, niech się śmieją — odparł rezolutnie Maciuś — oni nie rozumieją tego...

Na tem zakończyła się rozmowa, a Maciuś noc całą nie mógł spać na myśl o szczęściu, które go czekało.

Nazajutrz, skoro świt, Maciuś już pług naprawiał, a zajęło mu to kilka godzin czasu. Oczernił się. spocił, zmęczył, lecz wesół był jak nigdy.

Słońce już było dosyć wysoko, a był to koniec kwietnia, gdy Maciuś z bijącem sercem, pałającemi oczyma, wyjechał na pola, ciągnące się między wsią a lasem, by orać. Porucznik obiecał przyjść zobaczyć jego pracę, koledzy pożegnali go drwinkami.

A on ochoczo wziął się do roboty i orał powoli, z namaszczeniem, bruzdę za bruzdą, zachęcając konie.

Wiatr szumiał w wierzchołkach drzew, w lesie wołała kukułka i wiewiórka rudowłosa mknęła z gałęzi na gałąź, wieś w pozłocie stała słońca — a Maciuś orał.

I wiewiórka na skraju lasu wychyliła łebek z gęstwiny i patrzyła ciekawie na pole. A na polu, jeszcze pod wsią samą, czerniała sylwetka człowieka. Człowiek kierował pługiem, a konie szły chętnie, znacząc na ziemi cienie krótkie, karykaturalne, bo słońce już było wysoko.

Maciuś orał...

Szedł imiejsce koło miejsca odrzucał czarne skiby pługiem, szedł zagłębiając lemiesz ostry w stwardniałej ziemi, szedł, a w duszy hejnały mu grały nadziei i radości.

Maciuś orał...

Konie szły ochoczo przy pługu, znać iż do niego nawykłe, a ostrze lemiesza zagłębiało się w ziemię, ziemię rodzicielską i krajało ją w szmaty czarne, kawały życiodajne, ziarna spragnione.

Maciuś orał...

Radowała się ziemia, radowała matka ludzkości, iż pług pobudza ją do pracy twórczej na nowo, radowała się, bo czoła, iż po tej orce ziarno na łono jej padnie.

A za oraczem stada leciały wron i przypadały przy odwracanych skibach.

Maciuś orał...

Orał, duszy swej oczyma widział pszenicy pełne kłosy, chylące się z wiatru powiewem. Orał i słyszał, słyszał melodyę tych kłosów i sierpów dźwięki i żeńców śpiewy wesołe.

I szedł za pługiem, znacząc bruzdę za bruzdą i konie zachęcał okrzykiem.

Wio! wiśta kary! Prędzej koniku, na chleb dla biedaków pracujesz, będą syci, gdy wrócą do stron ojczystych.

Wiewiórka ukryta w gęstwinie, patrzała na oracza ciekawie, a on źbliżał się ku drzewom lasu powoli, zawracając na krańcach pola.

Maciuś orał...

A między budynkami wsi ukazał się porucznik Listowski. Szedł nie sam, lecz w towarzystwie przybyłego kapitana Warmskiego i właśnie opowiadał mu o chłopcu.

Maciuś zaś zaś zaczął doorywać ostatniego zagonu pod lasem. Wiewiórka trwożnie zaszyła się między wyższe gałęzie Kukułka umilkła... Nastała złowroga cisza...

Naraz Listowski spojrzał pod las i za głowę się chwycił:

— Na Boga! kapitanie! toż ten szaleniec pod samym lasem orze, tam często padały granaty!...

I począł wołać, by chopca ostrzedz: Maciusiu! Maciusiu!

Lecz on nie słyszał. Bo i jakże mógł słyszeć, gdy był w szum przyszłości zasłuchany! Bo i jakże mógł słyszeć, gdy w duszy grały mu zboża swą smętną piosenkę, gdy w sercu miał dźwięki sierpów i śpiewy żniwiarzy?

O świecie Bożym nie wiedząc, Maciuś doorywać ostatniego zagonu pod lasem.

— Maciusiu! wołał rozpaczliwie porucznik, przyspieszając kroku...

Konie dochodziły już prawie do krańca, znacząc za sobą bruzdę ostatnią.

Naraz... tuman przesłonił oracza, sochę i konie. Zachybotało coś okropnie, zawirowało w powietrzu, słup ziemi wystrzelił w górę, huk rozległ się ogłuszający, a ponad wszystko wzbił się biały, gęsty słup dymu...

A gdy dym opadł, miejsce, gdzie Maciuś orał było puste... O kilka kroków od niego majaczyły tylko jakieś poszarpane szczątki.. Lemiesz trafił na granat, wbity w ziemię. Listowski i Warmski bez tchu podążyli na miejsce wypadku.

Jeden koń zginął.. drugi leżał obok z wydartemi wnętrznościami. Pług poszedł w szmaty.

O kilka kroków dalej leżał Maciuś.

Odłamek granaty oderwał mu rękę od obojczyka i pierś poszarpał i otwarł okropnie, a z głowy spływał strumyczek krwi. — Na twarzy miał uśmiech radosny i jasność nadludzką, w zdrowej ręce trzymał część kierownicy pługa.

Listowski pochylił się nad nim.

Nie żyje! — rzekł cicho do kapitana, jakby bojąc się zbudzić zmarłego.

Nie żyje! — powtórzył kapitan.

Oficerowie zdjęli czapki i uklękli przy ciele Maciusia. Słońce stojąc na zenicie oświecało tę dziwną scenę. Ze wsi wysypywać się zaczęli żołnierze zaalarmowani eksplozyą. W dali odezwała się kukułka, a wiewiórka wychylając rudą główkę z gałęzi, spoglądała na pole ciekawie...

Po chwili oficerowie podnieśli się. Pierwszy ochłonął kapitan.

— Poruczniku -- rzekł, przecierając szkła, które zapotniały jakoś — żołnierze niech dziś obsieją to zorane przez niego pole, a to chłopie polskie pochowajcie tu, pod lasem, na skraju... koło tej bruzdy ostatniej, której doorać nie zdołał...

Pietrzejowice, 21 lipca 1922.

Z TEATRU.

Teatr Bagatela.

Proces rozwodowy pani B.

(Komedya w 3 aktach **Sidney'a Garricka.**)

Okropnie sprytnie obmyślane kawały wodzą się po scenie za rozczochrane głowy, idąc o lepsze z rutynowaną adwokacką blagą i rozkosznem wykonaniem aktorów.

Wszystko zaś odbywa się na pograniczu miłości, wiarołomstwa i prawa, które się ze sobą na scenie, jak w życiu, poplątały w rozkoszny węzeł śmiertelnie smutnego tematu: Małżeństwo... i rozwód !!

Dwa na równi czarujące, na równi przyciągające słowa, w których się od wieków zakleło 99% ludzkiego szczęścia! Małżeństwo i rozwód! — to niby brat i siostra, to niby cień i światło (małżeństwo będzia oczywiście cieniem !!) to niby dwaj najwierniejsi przyjaciele, dwaj bracia syamscy, zrośnięci ze sobą wieczyście, wieczyście wierni i wieczyście sobie następujący na pięty... achillesowe! Małżeństwo i rozwód! — toż to — rzecz jest zupełnie jasna — mąż i żona!!

Małżeństwo i rozwód! — dwa proste, niewymuszone, niewyuczone słowa, które przez wzajemną negacyę siebie wieczyście się uzupełniają. Przecież rozwód bierze się po to, aby zawierać małżeństwo! A małżeństwo... ?...

Zresztą, chodzi tu tylko o następstwo zdarzeń! Małżeństwo i rozwód! — Znaleźć tylko dobrych aktorów i grać, grać bez prób, bez suflera, jak je gramy w życiu, sztuka bowiem jest do zagrania wszędzie.

Małżeństwo i rozwód!! Panowie!! który z Was nie potrafi zawrzeć małżeństwa? Panie!! która z Was nie doprowadzi do rozwodu?

Więc na scenie jak w życiu, w życiu, jak na scenie, jak ze sceny, jak z nut, jak z kart, bez suflera, bez prób — grajmy!!

Żoną była panna *M. Modzelewska*, mężem pan *Z. Nowakowski*, obydwoje wywiązali się ze swego zadania znakomicie. Pan *Z. Noskowski* w roli nadwyrężonego życiem przyjaciela męża, pan *Schubert* w roli koncypienta i reszta wykonawców grała bez zarzutu. Reżyserował *Z. Nowakowski.*

Teatr Słowackiego.

Tragedya dzieci

(dramat **Karola Schönherza**, przekład **A. Schrödera.**)

Karol *Schönherz* jest, mimo pięknych pozorów, człowiekiem bez... serca.

Bo, doprawdy, że było z jego strony rzeczą wyrafinowanie okrutną, że napisawszy ponury dramat o wiarołomstwie pewnej pięknej żony leśniczego — czego by ostatecznie mógł wogóle nie robić, (komuż jest bardziej do twarzy z rogami, jak... leśniczemu !!?) dla tem większego udręczenia Bogu ducha, a żonom serca winnych widzów — kazał dramatu całego prawdziwymi aktorami być dzieciom!! Biednym, przeczulonym do przesady, wrażliwym do chorobliwości dzieciom, na których świadomość błędu matki ciąży jak przekleństwo, obala i burzy prostolinijne dogmaty ich dziecięcych wierzeń, popycha do prawdziwej zbrodni (zabicie gacha), a córkę skierowuje na grząską drogę tego grzechu, który się w prymitywnej leśniczówce dokonuje na sianie!!... niestety, za... sceną!

Sztuka, w treść wcale ubożuchna, nieco patepatetyczna, mająca akcenty nieszczerości, mogłaby być zajmującą jedynie przez mistrzowską grę jakiejś doskonałej trójki aktorów.

W teatrze Słowackiego położono ten duży ciężar, który sie niemal okazał ciężarem nie do udźwignięcia, na wątłe barki, pełnej szlachetnego entuzyamu i pięknej ochoty, aktorskiej młodzieży.

Pan *Socha* (starszy brat) dźwigał z przekonaniem ten ponury ciężar na siły, dzielnie, a duże umiarkowanie i unikanie szarży, powinno mu być policzone na korzyść.

Panna *Lubieńska*, niemal debiutantka w dramacie, włożyła niewątpliwie dużo starannej pracy i serdecznego przejęcia się w powierzoną sobie rolę, nie zawsze jednak potrafiła znaleźć akcenty należyte. P. *Sniadecka* wydobyła z roli swojej najwięcej efektu scenicznego w akcie trzecim.

Reżyserja dyr. *Teofila Trzcińskiego* była bardzo staranna.

„Człowiek z budki suflera"

(Komedya w 4 aktach **Tadeusza Rittnera.**)

Spojrzał na nas ze sceny człowiek tak mądry, jak osiwiały nad księgami wiedzy uczony, tak cichy i tak smutny, jak śmierć ponad wszystko ukochanego dziecka, tak drogi i tak kochany, jak niewymuszona pieszczota dwojga białych rączek jasnowłosego dziewczęcia, które już nie jest podlotkiem, a jeszcze nie jest kobietą.

Przemówił do nas ze sceny dziwny człowiek, który musiał mieć kochające i dobre serce, bo miał oczy zawsze dziwnie smutne i zatroskane, patrzące na życie jakby przez mgłę dwóch, na rzęsy opadających łez — które są jak perły — kryształowe. Patrzało bowiem na nas ze sceny spojrzenie dwojga bardzo smutnych i zatroskanych oczu poety, które widziały już wszystko i wszystko już zrozumiały, a które należały do człowieka, bardzo mądrego — mimo, iż był także urzędnikiem.

Była bowiem na scenie taka piękna bajka o teatrze, który jest „domem, pełnym światła", w którym się dlatego własnie można zakochać na śmierć, jak we własnej wypieszczonej kochance, która przecież mimo wszystko pozostanie przekupna i tania, choćby się ją chciało zatrzymać takiemi słowami, z których każde jest warte dwie pełne garście najszlachetniejszych kamieni.

Bo chociaż w sztuce jest mowa o wielu, bardzo zajmujących rzeczach, to przecież wszyscy tam na scenie grają ze sobą jakby jakąś niepotrzebną komedyę, bo w istocie nie kochają nic i nie kochają nikogo, tylko kochają teatr.

A ponieważ on — ten „dom pełny światła", przy któremby wszyscy chcieli ogrzać zlodowaciałe swoje serca — które nigdy nic na prawdę nie wiedzą i są zawsze pieszczoty nie syte — a ponieważ on, ten dziwny dom, w którym się wszyscy kochają i któremu zaprzedali bez reszty dusze i ciała, jest zimny i ciemny, więc w nim po nocy chodzą duchy innych znowu, podobnych tym żywym, ludzi, którzy się w nim jeszcze okropniej kochają, wszyscy bardzo smutni i śmieszni z tem swojem serdecznem zakochaniem.

Pan *Białkowski*, który już swojego czasu w Rittnerowskiej **„Tragedyi Eumenesa"** i w Rittnerowskich **„Wilkach w nocy"** dał skończone kreacye Rittnerowskich postaci i jako *człowiek z budki suflera* dał ze siebie wszystko, co miał najlepszego. To swoje bezgraniczne, skończone wczucie się w rolę, które mówi o **zrozumieniu** z autorem.

Pani *Kossocka*, jako Ewelina Corelli, wywiązywała się ze swego zadania poprawnie, chociaż nie wydobyła z roli wszystkich wartości i możliwości, które są w niej szczodrobliwie pańskim gestem Rittnera rozsypane.

Pan *Szymborski*, panowie *Chodecki*, *Krawczyński i Szymański*, oraz reszta wykonawców, stała na wysokości zadania. *Wiesław Wohnout.*

Armia Sowietów.

W myśl znanego i słusznego twierdzenia, że tylko zapomocą żelaznej dyscypliny i surowości w postępowaniu z ludnością, zdoła się rząd sowietów utrzymać przy władzy, położono w Rosyi ogromny nacisk na organizacyę armii. Na równi z carskiemi ślepe, bezduszne, upadlające rygory bezwzględnego posłuszeństwa oto sowiecka metoda wychowania „rewolucyjnego“ żołnierza. — O swobodzie, równości i pacyfizmie mówi się długo, szeroko i nudno na mettingach i zgromadzeniach, w ciemnych zaś nadal, dusznych i wilgotnych kazamatach dawnych carskich fortec, panuje bez zmiany i nieprzerwanie ten sam i taki sam praporszczyk i sztabskapitan, który wali sękatą pięścią w potulny pysk wyprężonego „sołdata!“ *x*

Poczta lotnicza w Rosyi

Rosya Sowiecka, która stara się przystosować u siebie najrychlej ostatnie zdobycze techniki lotniczej, wprowadziła między innemi innowacyami skrzynki poczty powietrznej na ulicach większych miast, do których wrzucone listy, wybierane w parę godzin przed odlotem przesyłane są na pole startu, gdzie następuje ich sortowanie i pakowanie, po czem w szczelnie pieczętowanych workach ładuje się je na mające odlecieć aparaty. Jak słychać cieszy się poczta powietrzna w Rosyi dużem powodzeniem, ale — jak to się można było spodziewać korzystają z niej w pierwszym rzędzie przebywający w Rosyi cudzoziemscy kupcy i przemysłowcy, gdyż ceny takiej powietrznej przesyłki są ogromnie wygórowane. *x*



Walki byków w Bayonnie: Torreadorzy, piccadorzy i banderilleros przy dźwięku tryumfalnych fanfar wkraczają na arenę

Walki byków w Bayonnie

Poza Hiszpanią cieszą się walki byków dużem powodzeniem w paru miejscowościach południowo-zachodniej Francyi i ściągają liczne rzesze głodnych silnych senzacyi widzów z najodleglejszych okolic Europy. Ten oryginalny zwyczaj, do którego cała Hiszpania jest tak niezmiernie przywiązana utrzymuje się bez zmian do dzisiejszego dnia nie przestając być ani na chwilę zawsze przyciągającą tłumy atrakcyą. Ostatnio słyszeliśmy pogłoski, że jakieś internacyonalne towarzystwo cyrkowe chce przeszczepić tę hiszpańską specyalność na grunt Europy środkowej i w tym celu stara się urządzić walki byków we Wiedniu. Już sam projekt spotkał się z gwałtowną opozycyą towarzystw opieki nad zwierzętami i innych kulturalnych organizacyi Wiednia, które za żadną cenę nie chcą dopuścić do tego jak je nazywają (słusznie!) barbarzyństwa, które może się stać powodem jeszcze większego zdziczenia i tak po wojnie zdemoralizowanych mas, z których to w pierwszym rzędzie rekrutują się widzowie igrzysk tego rodzaju. Odwrotnie miłośnicy sportu i ćwiczenia fizycznego swego ciała podkreślają dużą wartość sportową walki byków, która wyrabia błyskawiczność decyzyi, natychmiastowość działania, szybkość oryentacyi i wymaga od torreadora niesłychanej odwagi i sprężystości. Tak czy owak, jak to bywa zwykle w takich razach, racyę mają obie strony. Walka z rozjuszonem zwierzęciem, kończąca się zwykle jego śmiercią — często zresztą także śmiercią, albo przynajmniej poważnem zranieniem pogromcy, jest w rzeczy samej rozrywką nieco dziką i mocno brutalną, jak każda jednak walka ma i swoje strony piękne, któremi potrafi przykuć oczy widzów i wywołać ich ostateczny entuzyazm dla zwycięscy. Do szczytu rozwydrzenia pod tym względem doszła ludność Hiszpanii, która w razie zwycięstwa zwierzęcia a śmierci torreadora, darzy frenetycznemi oklaskami... byka... zaś dla ubóstwianego jeszcze wczoraj pogromcy, który się dzisiaj pozwolił zwyciężyć, ma tylko politowanie i pogardę. *x*

Życie tubylców na Jawie

Ludność tubylcza na Jawie stoi pod względem cywilizacyi wcale wysoko. Długa, żmudna praca europejczyków, szereg szkół i szkółek, intenzywna praca wychowawcza europejskich kolonistów zrobiły swoje. Kobiety malajskie okazały się dobremi pracownicami, zdolnemi do pracy przy warsztacie na roli, w domu, ha — nawet we fabryce. Mężczyźni jako ogrodnicy, kowale, kuśnierze, kołodzieje, szewcy, stolarze, wywiązują się ze swoich zadań doskonale a z rokiem każdym wzrastający





Życie tubylców na Jawie:

Kobiety malajskie zajęte w prymitywnej przędzalni.

Gentleman malajski spożywa porcyę lodów.



Życie tubylców na Jawie: Kobiety malajskie podczas pracy.



Poczta lotnicza w Rosyi: Na ulicach miast rosyjskich wprowadzono skrzynki listowe dla poczty aeroplanowej.

dobrobyt pozwala na rozwój intelektualny. Dlatego też w czasach, gdy rasy do niedawna nierolnicze mają swoich przedstawicieli w szeregach lekarzy, adwokatów, księży, to że jakiś malajski gentleman zajada z gracyą paryżanki porcye śmietankowych lodów, popija przez idealnie prostą szklankę mazagran, a wieczorem w białym „smoku" uczęszcza do lokali rozrywkowych, teatru, kina, kabaretu, nikogo nie potrafi zadziwić. *x*

Zjazd pracowników Związku Kas chorych w Polsce

Dnia 8 i 9 bm. odbył się I Zjazd pracowników Kas chorych w Polsce. W Zjeździe wzięło udział 53 delegatów z całego Państwa.

W Zjeździe wziął udział z ramienia ministerstwa pracy i opieki społecznej pan radca *Korski*, który jako pierwszy mowca życzył Zjazdowi pomyślnego wyniku obrad. Następnie *Dr Kunicki* imieniem Związku Kas chorych, witając Zjazd, wyraził życzenie aby organizacye pracowników Kas chorych przyczyniły się do wielkiego dzieła reform społecznych i rozwinięcia instytucyi ubezpieczeniowych klasy pracującej w Polsce. Przewodniczył Zjazdowi radny miasta Krakowa pan *Bolesław Jaroszewski,* na którego propozycyę wybrano prezydyum w składzie następującym: pp. *Skarzyński Jaroszewski, Sawicki, Roch, Zejno i Malisz.*

A. R.



Zjazd pracowników Kas chorych w Polsce: Grupa uczestników zjazdu. W pośrodku siedzą (1) Dr. Korski który zagaił obrady z ramienia min. pracy i opieki społecznej, (2) p. Bolesław Jaroszewski który przewodniczył zjazdowi.



Z teatru: Panna Lubieńska adeptka sztuki scenicznej, która ostatnio debiutowała w teatrze im. Juliusza Słowackiego w dramacie Karola Schönherra.

Ze szkół śpiewackich w naszem mieście

Miło nam zanotować fakt, że ceniona szkoła śpiewu p. L. Marek-Onyszkiewiczowej, stojąca na tak wysokim poziomie artystycznym, przysporzyła znowu scenie polskiej jeden nowy wybitny talent śpiewaczy, w osobie p. Maryi Wędrych-Chorążyny która debiutowała na naszej scenie w roli Halki w operze Moniuszki. Głos tej młodej śpiewaczki, która ukończyła studya wokalne u p. Onyszkiewiczowej, a sceniczne u prof. Wysockiego, reżysera teatru Bagateli, brzmiał w całej pełni, wykazując wszelkie swoje walory wokalne jak i nader artystyczną intuicyę. Mamy nadzieję, że młoda a ruchliwa dyrekcya naszej opery da możność pani Chorążynie wystąpienia i w innych partyach swego repertuaru, dając tem dowód dbałości o rozwój młodych, prawdziwie utalentowanych sił artystycznych. Szkoła p. Marek-Onyszkiewiczowej przysporzyła tyle sił operze polskiej, że tylko życzyć możemy serdecznie aby ta placówka artystyczno-kulturalna dalej się tak rozwijała na pożytek sztuce polskiej.



Ze szkół śpiewackich w naszem mieście: P. Marya Wędrych-Chorązyna, która debiutowała ostatnio w roli Halki.

Odpowiedzi Redakcyi.

„Gończowi Krakowskiemu". Serdecznie dziękujemy za bezinteresowną, szczerym duchem sympatyi przepojoną reklamę przeprowadzoną w numerze z czwartku 20 bm.



Ze szkół śpiewackich w naszem mieście: Szkoła śpiewu pani Marek-Onyszkiewicz w Krakowie.

Mord na polach mogilskich.

(Do illustracyi tytułowej).

W ubiegłym tygodniu znaleziono na polach mogilskich trupa kobiety. Śledztwo policyjne wykazało, że zabitą była niejaka Leontyna Rattnerowa, zaś mordercą jest strażak Władysław Kołodziejczyk liczący lat 21 zamieszkały w koszarach przy ulicy Andrzeja Potockiego. Kołodziejczyk przy pierwszem przesłuchaniu zeznał, że zamordował Rattnerową „na własne żądanie" i jej rewolwerem za co dała mu biżuteryę i $1^1/_2$ miliona marek. Po morderstwie udał się do koszar i ułożył się spokojnie do snu. Dalsze dochodzenia wykazały jednak fałszywość zeznań aresztowanego, który jak się okazało zamordował Rattnerową w celach rabunkowych. Prócz Kołodziejczyka aresztowano jubilera H. Pollaka, który od mordercy nabył zrabowane kosztowności.

Żywot i przygody Don Juana?

ZAKOŃCZENIE KONKURSU PIĘKNOŚCI



Marya Nowinska (Łódź)

Słowo o punktualności

Konkurs piękności dobiegł końca. Dobiegł — albo i nie dobiegł! Bo zaledwie zakończyło się nadsyłanie fotografii. Jesteśmy słowni — i rytująco niewzruszeni! Ani jednej fotografii więcej!! Wczoraj odesłano z powrotem pod adresem nadobnych nadawczyń sporą paczkę zapóźnionych zdjęć.

Mówi się trudno!! Jesteśmy niewzruszeni i nieubłagani! Musimy panie nasze oduczyć niepunktualności. Przemawia przez nas zresztą dbałość o dobro własne. Najwięcej bowiem na tej Waszej, piękne Panie niepunktualności cierpią mężowie!! — a i my jesteśmy, byliśmy, lub będziemy niemi...

nie — ste — ty!!!...

— (oh!) —

Zatem ad rem! Piękne a niepunktualne panie zostaną bodaj raz okrutnie ukarane. Mówi się trudno — bo szkoda łez! — a właśnie byłoby o co płakać! Bo z dniem dzisiejszym rozpoczyna się

głosowanie na najpiękniejszą kobietę w Polsce



Marya Żurekowa (Gniezno)

Każden czytelnik i każda czytelniczka „Nowości Illustrowanych" ma prawo nadesłać nam czytelnie wypełnioną

Kartkę głosowania

w której wymieni nazwisko tej z pośród pań, której fotografia reprodukowaną była w dziale konkursowym „Nowości Illustr." a którą uważa **za najpiękniejszą.**

Kartki głosowania muszą być podpisane pełnem nazwiskiem głosującego, który jednak ma prawo zastrzedz sobie **nie publikowanie swojego nazwiska,** o ile chce pozostać wielbicielem ukrytym.

W miarę napływania głosów będziemy je publikowali w numerach naszego Pisma i w ten sposób będą czytelnicy nasi widzami **rozgrywajacej się walki** która utrzymywała ich będzie w stałem napięciu. Termin zakończenia głosowania ogłoszony zostanie w najbliższym czasie.



Helena Włodarczyk (Kraków)

Artystyczna komisya

która oświadczeniem swoim wyda ostateczną decyzyę będzie miała zadanie następujące: oto z 10 Pań, które uzyskają największą ilość głosów, wybierze trzy i tym trzem przyzna wedle swego uznania I, II i III nagrodę honorową w formie

artystycznie wykonanych Dyplomów pamiątkowych.



Nina Dorée, tancerka bosonoga.



Zuza Malinowska (Warszawa)

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce.

KARTKA GŁOSOWANIA

Niniejszem oddaję mój głos na panią ...., której fotografia była zamieszczona w .... Nrze „Nowości Illustrow.“

Podpis ....

Wyraźny adres i nazwisko ....

Nazwisko moje pozwalam — nie pozwalam umieścić w dziale konkursowym „Nowości Illustrowanych“.

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce.

KARTKA GŁOSOWANIA

Niniejszem oddaję mój głos na panią ...., której fotografia była zamieszczoną w .... Nrze „Nowości Illustrow.“

Podpis ....

Wyraźny adres i nazwisko ....

Nazwisko moje pozwalam — nie pozwalam umieścić w dziale konkursowym „Nowości Illustrowanych“.

NAJSTARSZY I NAJWIĘKSZY SKŁAD FORTEPIANÓW

Z. RABA nast.

ROK ZAŁOZENIA 1880

Kraków, ulica św. Anny l. 3.

Poleca pierwszorzędne instrumenta po fabrycznych cenach. — Także instrumenta używane.

CHŁOPCZYKA

ładnego lat 5½ EMIL oddam bezdzietnej rodzinie za własne z braku matki

wiadomość w ADMINISTRACYI

FIRANKI, PORTJERY I KAPY NA ŁÓŻKA

poleca w wielkim wyborze i po cenach bardzo przystępnych firma

KAROL JAROSZ

Kraków, Floryańska 35

„ANTONINA“

PRACOWNIA KAPELUSZY DAMSKICH

W KRAKOWIE, UL. FLORJAŃSKA L. 13, I. P. (W PODWORCU)

poleca kapelusze damskie i oryginalne modele w wielkim wyborze, oraz przyjmuje wszelkie roboty w zakres modniarstwa wchodzące

po nader przystępnych cenach.

!! Poznaj siebie !!

Jeżeli chcesz poznać kim jesteś? kim być możesz? swój charakter, zdolności i przeznaczenie, jeżeli cierpisz moralnie i nie znasz wyjścia, jeżeli Ci brak energji i równowagi, jeżeli nie wiesz jak żyć i postępować, aby zwycięzko przeciwstawić się losowi, zwróć się do p. Szyllera-Szkolnika, człowieka ogromnego doświadczenia życiowego, znawcy dusz, autora prac naukowych, napisz własnoręcznie imię, rok, miesiąc urodzenia, kawaler, żonaty, wdowiec, ile osób najbliższej rodziny, na tych danych otrzymasz listem poleconym naukową, szczegółową analizę charakteru, określenia ważniejszych zdarzeń życiowych, odpowiedzi na szczerze zadane pytania, również horoskop, ułożony przez słynne medjum Miss Evigny, do tego najnowszy utwór Szyllera-Szkolnika: książkę „Tajemnice powodzenia“.

Rady, wskazówki, uwagi, jak żyć, postępować, aby osiągnąć powodzenie, dobrobyt, niezależność, zadowolenie moralne. Analizę, horoskop i książeczkę „Tajemnice powodzenia“ wysyła się po otrzymaniu Mk. 50 tysięcy. Osobiście przyjmuje od 12—7 po poł. Doświadczenia naukowe p. Szyller-Szkolnika zaszczycone chwalebnymi protokółami naukowych towarzystw Warszawy, świadectwami najwybitniejszych powag świata lekarskiego i odezwami prasy. Książki nadzwyczaj ciekawej treści naukowo-pouczającej. Katalog illustrowany darmo. Na przesyłkę dołączyć znaczek poczt.

Adres:

Warszawa

Psycho-Grafolog

SZYLLER-SZKOLNIK

Piękna 25, pokój 33. — Telefon 506-09.

Zakład techniczno-dentystyczny

N. KLEINBERGERA

Kraków, Szewska 27 I. p. (narożnik plant)

otwarty od godz. 9—1 i od 3—6.

Materyały wełniane!

na suknie i kostyumy damskie

na ubrania męskie

płaszcze i raglany.

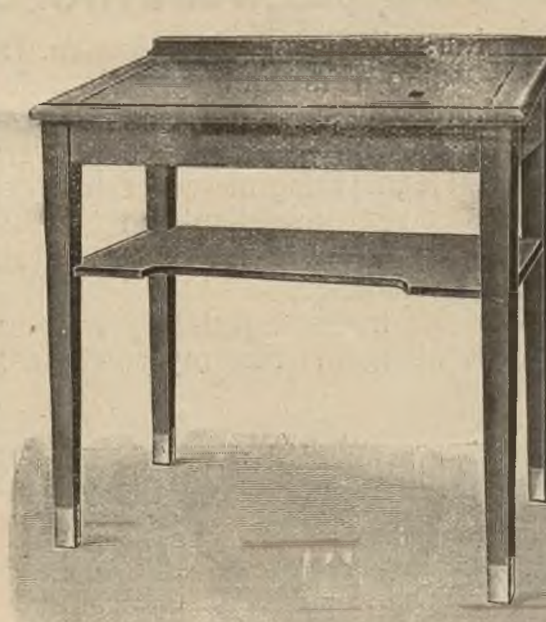
Markizety, batysty, woale, perkale, zefiry i szyfony

wszystko w wielkim wyborze i po cenach konkurencyjnych

poleca

KAROL JAROSZ

Kraków, Floryańska 35 (róg ul. św. Marka).



Amerykańskie

urządzenia biurowe „JERRY“

Ska z ogran. odpow.

Centrala: Kraków

Floryańska 28, I. piętro — Telefon 1416.

Filja: Lwów

Sykstuska 2. Sykstuska 2.

Redaktor naczelny: Wiesław Wohnout. — Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. — Odpow. redaktor: Dr. Witold Lipiński.
Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina.